

Rzeczy

TERESY KRASNODEBSKIEJ



TERESA KRASNODEBSKA

- w Teatrze Wielkim - Operze
Narodowej pracuje
od 1977 roku, a na scenie
jako inspicjentka od 1982.
Pracowała m.in. z Marią Foł-
tyn, Andrzejem Kreutz-Ma-
jewskim, Krzysztofem Pen-
dereckim, Mariuszem Treliń-
skim, Krzysztofem Warlikow-
skim, Emilem Wesolowskim

Dla siebie i dla KRÓLOWEJ

Dzięki teatrowi patrzę na ubrania jak na kostium, a na siebie – jak na aktora w swoim życiu

z inspicjentką Teatru Wielkiego TERESĄ KRASNODEBSKĄ
rozmawia KAROLINA SULEJ, zdjęcia CELESTYNA KRÓL



1. Szalenie lubię szale. Szal daje mnóstwo możliwości – możesz go zamotać, możesz udrapować jak bluzkę **2.** Mam w szafie kilka par pantofli na obcasie – szczególnie lubię aksamitne, z paseczkiem, na szpileczce, albo złote **3.** W 1996 r. na przedstawieniu gościła królowa Elżbieta II, po spektaklu odbył się bankiet. Na tę okazję kupiłam bluzkę atlasową z ogromnym gipirowym kołnierzem, który spadał mi z ramion aż do łokcia. Wyszła z szafy tylko raz

Kiedy w pani życiu zaczęła się moda?

– Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to plisowana, długa, biała spódnica z cieniutkiej wełny, którą mama przywiozła mi z Włoch. Poszłam do krawcowej i kazałam sobie ją obciąć przed kolano. To były czasy mini, początek lat 60. i długość przed kolano była i tak konserwatywnym wyborem. To był jednak pierwszy i ostatni raz, kiedy postanowiłam nosić się tak krótko. Od wielu lat lubię długości tylko poniżej kolan.

Najpierwsze moje wspomnienie odzieżowe dotyczy jednak pończoch. A dokładniej pończoch firmy Patentka, grubych, bawełnianych, w prążki. Miały tę właściwość, że się wałkowały i robiły się tak zwane obwarzanki na kolanach. Nie znosiłam ich, mimo że Patentka była firmą należącą do mojego

dziadunia. Jestem wnuczką fabrykanta pończoch. Produkowane były głównie dziecięce, chociaż były także męskie skarpetki z wełny i bawełny. Do dziś mam kilka par. Po wojnie firmę prowadziła moja mama – wtedy już jako spółdzielnię zatrudniającą same kobiety. W pewnym momencie wchłonęła ją większa firma. Ale w tych skarpetkach nadal chodzę.

A jaką część garderoby lubi pani najbardziej?

– U mnie w rodzinie lubiło się małe, wiązane pod szyją apaszki – poszetki. Ja jednak jestem maksymalistką, lubię duże połacie. Dlatego też szalenie lubię szale. Szal daje mnóstwo możliwości – możesz go zamotać, możesz udrapować jak bluzkę, wykorzystać jako ramę do stroju. Stwarza zarazem elegancką i lekką sylwetkę. W ogóle w stroju lubię, żeby za mną fruwało – czy to szal, czy spódnica, płaszcz, peleryna. To dodaje sylwetce wdzięku, smukłości.

Czy śledzi pani tendencje w modzie?

– Wiem, co jest modne, ale to nie jest dla mnie wyznacznik stylu. Zresztą nigdy bym nie nadążyła za trendami, bo zwyczajnie nie znoszę chodzić po sklepach, całego tego procesu mierzenia, wybierania. Jeśli jednak coś do mnie „zagada”, kupuję od razu. Wyjeżdżaliśmy ze znajomymi do Indii i potrzebne mi były cienkie, sportowe spodnie typu tropik z dużą liczbą kieszeni – takie, w których można wszędzie usiąść. Znalazłam odpowiednie w lumpeksie za pięć złotych. Weszłam, spojrzałam na wieszak i były. Innym razem jechałam z teatrem do Omanu. Chciałam sobie kupić coś, co będzie eleganckie, ale niezobowiązujące, co się nie pogniecie, w kolorze i wzorze pasującym do stylu regionu.

Jest pani wymagająca.

– A do tego nie umiem się zdecydować. Klasyczna zodiakalna Ryba. Ale wtedy, w ostatniej chwili przed wyjazdem, weszłam »

po drodze do Humany w mojej kamienicy – a tam wisiało czarne, krótkie bolerko z długimi rękawami, haftowane złotą nicią w kwiaty. Zdało egzamin idealnie razem z koronkowym topem i długimi, czarnymi spodniami. Nie miałabym cierpliwości do szukania takiego cacuszka w galerii handlowej ani też by go tam nie było. Co nie znaczy, że ubieram się wyłącznie w lumpeksach.

To szczególne zawodowe okazje, a jak się pani ubiera na co dzień do pracy inspicjenta w Operze Narodowej?

– Mój uniform to czarne spodnie i czarna góra z długimi rękawami. Czerni zawsze jest elegancka, ale też dyskretna. Nie chcę się stroić do pracy – kostium jest na scenie, ja kieruję występami tych, którzy mają być podziwiani. Zawsze jednak do czarnego zestawu dodaję czerwony szal – dobrze się eksponuje i energetyzuje. Wiem, w co się codziennie ubiorę, i to daje mi spokój oraz poczucie odpowiedniości. Nawet na premierę ubieram się podobnie – tyle tylko, że założę bardziej ozdobną czarną bluzkę, żakietik, a zamiast dżinsowych spodni – z weluru czy żorżety. Może niewiele osób zauważy zmianę, ale ja ją czuję. Podkreślam odświętność chwili.

Zastanawiam się czasem, dlaczego niektórzy widzowie nie czują podobnie.

To znaczy?

– Na szeregowe przedstawienia, nie mówię o premierach czy świątecznych koncertach, widzowie czasem przychodzą ubrani, jakby oderwali się dopiero co od pielienia grządk. A przecież poprzez strój wyrażasz szacunek dla szczególnego miejsca, dla artystów. Zachowywanie się, jakby się było ponad to, nie jest powodem do dumy. W najlepszym razie jest dziecinne, w najgorszym – pogardliwe. Zrozumienie kodu ubraniowego to kwestia wychowania. Wiedzę o elegancji dostaje się w dzieciństwie.

Co to jest elegancja?

– Każdy definiuje to pojęcie inaczej. Moim zdaniem w wytycznych dotyczących elegancji chodzi o to, żeby nie wyglądać niekorzystnie – śmiesznie, brzydko, nie podkreślać defektów, ale to, co dobre, a zwłaszcza – co właściwe dla pory i lokalizacji. To świadomość systemu kulturowego, w którym się żyje, prawidłowego odczytania jego opowieści.

W rozwijaniu modowej elokwencji pomógł mi teatr. Dzięki teatrowi patrzę na ubrania jak na kostium, a na siebie – jak na aktora w swoim życiu. Teatr pokazuje, że wszyscy gramy



Mam ze 20 kapeluszy – m.in. męski czarny borsalino czy kapelusz ze słomki z ogromnym rondem, drugie tyle rękawiczek na wszystkie pory roku

role – raz statysty, raz suflera, innym razem główną postać i trzeba umieć ubrać się adekwatnie do tego. Bo też w modzie nie jest najważniejsze CO, ale JAK. Do stylu trzeba dorosnąć – najpierw naczytać się książek, oglądać sztuk i filmów, dać sobie czas na dokształcenie. Mówi się, że człowiek zaczyna umieć nosić frak dopiero w trzecim pokoleniu inteligencji, co oznacza, że jego swobodne użycie wymaga rodzinnej tradycji noszenia ubrań formalnych.

A jak pani została wychowana?

– Uczono mnie, żeby było z wdziękiem, ale trochę zachowawczo. Kostiumiki Chanel – to był wyznacznik swego czasu. Przed wojną na przykład niedopuszczalne było, żeby mama czy moja babunia wyszły bez kapelusza, rękawiczek, odpowiednich butów, torebki. Przekazały mi zrozumienie roli dress code'u i odpowiedniości. Oraz całkiem konkretną słabość – miłość do kapeluszy i rękawiczek. Mam ze dwadzieścia kapeluszy, m.in. męski czarny borsalino czy kapelusz ze słomki z ogromnym, falistym rondem, drugie tyle rękawiczek na wszystkie pory roku.

A jaki styl miał ojciec?

– Był przedwojennym zawodowym oficerem i wyglądał w mundurze, jakby się w nim urodził – z szablą i koniem do kompletu. Mama lubiła żartować, że gdyby nie to, jak świetnie wyglądał w mundurze porucznika, toby za niego nie wyszła. Do dzisiaj wisi w domu patent oficerski ojca ze Szkoły Podchorążych Piechoty podpisany w 1932 roku przez ministra spraw wojskowych Józefa Piłsudskiego.

Tata walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku, został odznaczony m.in. Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych, po kapitulacji był w sztabie AK, po powstaniu warszawskim trafił do oflagu Altengrabow, a po wojnie do więzienia UB w Sztumie, dopiero amnestia w 1956 roku oczyściła go w oczach komunistycznego państwa, ale nie chciał służyć w jego armii. Do emerytury pracował w Ruchu. U nas w domu był duży kult wojska, bo dziadunio też, zanim został fabrykantem, służył w armii. Do dzisiaj się wzruszam, kiedy widzę paradę wojskową na placu Piłsudskiego. Mój tata także tutaj wyprowadzał żołnierzy.

A jak wyglądała mama?

– Była słowiańską pięknnością – szczupłą, blond włosy, niebieskie oczy. Była w ścisłym finale konkursu Miss Polonia w 1930 roku. Podobno się mówiło, że powinna być dostać koronę Miss, zwycięzcy zaś wcale nie miała słowiańskiej urody i zapewne w grę wchodziło kumoterstwo.

Mam takie zdjęcie rodziców z deptaka w Ciechocinku – wyglądają jak ikoniczna para z przedwojnia. On w mundurze, wysoki, dumny, ona w kwietnej sukience, w kapeluszu, z parasolką. Mama była wzorem kobiecości – ale podobała mi się też jedna z moich cioci, która ubierała się w sposób artystowski – bardziej powłóczysta, zdobna, nie bała się wzorów, oryginalnej biżuterii. I miała piękne, rude włosy, które upinała jednym ruchem ręki, jakby od niechcienia, a tworzyły wręcz barokowe uczesanie.

Pani też ma rude włosy, podobnie upięte.

– Kiedy noszę rozpuszczone, czuję się bardzo prywatnie. Ale pytała pani na początku o wspomnienia z dzieciństwa związane z wyglądem. Mam jeszcze jedno ważne, związane z fryzurą. W szkole nosiliśmy warkocze. W dziesiątej klasie razem z koleżanką poszłyśmy do fryzjera, żeby nam je obciął. Chciałyśmy być nowoczesne i dorosłe. Kiedy przyszedłam do domu, od razu był raban – jak mogłam, co się ze mną zrobiło. Tylko dziadunio na mnie nie naskoczył. Przyglądał się długo, aż w końcu stwierdził: „Czego wy od niej chcecie, wygląda jak Irena Dziedzic”. Wtedy to właśnie ona królowała w telewizji. A ja miałam 16 lat i byłam załamana tym wyrokiem. Nie chciałam wyglądać jak jakaś 40-letnia stara baba.

A jak się pani ubierała jako dorastająca panienka?

– W szkole podstawowej obowiązywał satynowy fartuch podobny do tego, w jakim chodziły sprzedawczynie w warzywniakach, z wymiennym codziennie, białym kołnierzykiem. Do dzisiaj mam w szafie jeszcze kilka takich kołnierzyków – niektóre typu bebe, inne w stylu Słowackiego. Założę się, że niedługo znów będą modne.

Niesamowite, że pani wciąż je ma.

– Dlaczego? Kiedyś wszystko robiono z bardzo porządnymi materiałami. Mam w szafie garsonkę, którą kupiła mi babunia jakieś 40 lat temu, wciąż nie mogę się z nią rozstać. Jest w kolorze lilaróż, lejący materiał, ma baskinkę i kloszową spódnicę z kieszeniami. Małe dzieło sztuki. Ale kiedyś to była norma.

W czasach szkolnych byłam jednak ubierana skromnie. Dzieci nie powinno się różnicować – z tego biorą się potem uprzedzenia. Po szkole można robić, co się chce. Moda – to nie był dla mnie temat, kiedy zdawałam maturę.

A co było tematem?

– Co zrobić z życiem. Chciałam iść do szkoły teatralnej, ale mama stwierdziła, że wystarczy już artystów w rodzinie. Medycyna albo prawo – powiedziała. Poszłam na prawo. Ale na szczęście na uniwersytecie były teatry studenckie i tak – boczkim, boczkim – dostałam się tam, gdzie widziałam się w marzeniach. Teatr Wielki – Opera Narodowa. Zaczęłam w 1972 roku od statystowania.

Czyli najpierw była scena, a nie kulisy.

– Nie przypuszczałam, że w tak poważnej instytucji mogą być statysci. A bywało, że na scenie stały tłumy, po kilkudziesięciu staty-

UBRANIA MOGĄ BYĆ OBRONĄ PRZED ŚWIATEM, A NIE SMUTNĄ KONIECZNOŚCIĄ

stów, jak w „Spartakusie” czy „Aidzie”. W tym przedstawieniu właśnie po raz pierwszy statystowałam – byłam ostatnią z rzędu mniszką w ostatnim akcie w obrazie „Grobowiec”. Wchodziłam na scenę koło godz. 22, ale przyjść musiałam tak jak wszyscy na 18 – godzinę przed rozpoczęciem. Jak się przyszło później, to się nie dostawało kostiumu.

To jakie kostiumy miała pani szansę założyć?

– Zdarzyło mi się zagrać rolę drzewa w balecie „Bardzo Śpiąca Królowna”. Nie był to komplementujący kostium, a twarz miałam pomalowaną na zielono. Raz po spektaklu nie zmyłam dokładnie nosa, brody i oczu i wyszłam tak na miasto – to dopiero było przedstawienie. Ale szybko awansowałam z pomniejszych zadań do roli statystki solistki. W inscenizacji „Borysa Godunowa” w reżyserii Jana Świderskiego, z genialnymi dekoracjami Andrzeja Kreutz-Majewskiego, w scenie koronacji są ogromne schody, a na ich szczycie carskie wrota. Na dole czekają bojarzy i lud, biją dzwony, kulminacja w muzyce, procesja kroczy po schodach, na koniec pojawia się sam car Borys. Ze spek-

taklu na spektakl awansowałam coraz bardziej na czoło procesji, aż w końcu wylądowałam w pierwszej dwójce mniszek.

W operze „Don Kichot”, w scenie balu w III akcie, po otwarciu kurtyny, najpierw było widać na pustej scenie króla i mnie – jako królową. Czułam mrowienie w całym ciele, kiedy słyszałam okłaski. Oczywiście nie dla mnie, Krasnodębskiej, ale dla urody tego obrazu.

W „Spartakusie” byłam niewolnicą w powiewnej szacie, w „Jeziorze łabędzim” jako dama dworu miałam bogaty kostium i wspaniały kapelusz z piórem. W „Don Carlosie” zagrałam hrabinę d’Aremberg, którą Filip II wypędza z królewskiego dworu za dopuszczenie do schadzki królowej Elżbiety z Carlosem. W „Traviacie” byłam z kolei zakonnicą, szarytką. Ta rola była mi osobliwie bliska, bo rodzice posyłali mnie do przedszkola prowadzonego przez ten zakon. Siostry chodziły wtedy w wielkich, białych kornetach, wyglądały jak białe ptaki na wietrze. Biegałam do naszych kapeluszniczek, pokazywałam im zdjęcia „moich” szarytek z mojego przedszkola.

W 1977 roku schodzi pani ze sceny, w kulisy.

– Zostałam sekretarką dyrektora administracyjnego. Nazywałam go czasem garsonkowym, bo nosiłam wtedy neutralne urzędnicze ubrania. Ale nadal statystowałam po godzinach. Dyrektor się martwił, że to dlatego, iż miałam za niską pensję. Ale jak ja miałam odmawiać, kiedy przychodziła do gabinetu pani Maria Fołtyn, reżyser, i pytała: „Czy zechce pani wystąpić u mnie w »Rycerskości wieśniaczej«”? Czułam się co najmniej jak Helena Modrzejewska angażowana przez samego Stevena Spielberga, gdyby czas się „zapętlił”. Grałam sprzedawczynię kwiatów i koralików na straganie.

Po kilku latach uznała pani, że im bliżej sceny, tym lepiej. Na czym polegają zadania inspicjenta?

– Inspicjent, będąc bliskim współpracownikiem twórców spektaklu, czuwa nad sprawnym przebiegiem prób i przedstawień. Jest jak pilot na wieży kontroli lotów albo kapitan statku na mostku, musi tak realizować scenariusz oraz prowadzić zespoły artystyczne – solistów, orkiestrę, chór, balet, aktorów, statystów – i ekipy techniczne, żeby cały mechanizm, jaki puszczany jest w ruch, tworzył jedność. Częścią tej maszyny są wszyscy wykonawcy i współrealizatorzy spektaklu oraz technicy, także na przykład garderobiani, charakteryzatorzy. Oni wiedzą, »

jak kogo ubrać, a inspicjent pilnuje momentu w partyturze, kiedy gotowe postaci oraz dekoracje, efekty świetlne i inne mają się pojawić na scenie. Kiedy spektakl ma się zacząć, odegrać i zakończyć. Na sygnał inspicjenta. Proste... „Pozostając w cieniu, inspicjent dyskretnie nadaje inscenizacji świetność i wdzięk, za które zbiera pochwały reżyser...” – jak można przeczytać w „Słowniku terminów teatralnych” Patrice’a Pavise’a.

Ale na pewno bywa trudno.

– Zawodu inspicjenta uczysz się na żywym organizmie, nie ma szkoły, która przygotowuje do tej pracy. Najwięcej zaś można nauczyć się na rozmaitych „cudownych katastrofach” – jedna zabawna wydarzyła się w trakcie spektaklu „Don Giovanniego”. Solista w głównej roli ma w II akcie moment na przebranie się i do końca przedstawienia jest w tym kostiumie. Już ma wyjść na scenę nasz Giovanni, któremu proponuję, żeby może jednak do spodni szelki założył, będzie mu wygodniej i w razie awarii – bezpieczniej. Odparł, że nie chce, nie lubi i poszedł.

Muzyka płynie, czas też – pękły mu spodnie. Szelki nawet by nie pomogły – po całości się rozpruły. Widzę, jak z każdym momentem stoi w coraz większym rozkroku. Popłakałam się ze śmiechu, ale też najpierw interweniowałam. Jak tylko wyczułam moment, skrył się za kulisami i szast-prast wrócił na scenę w nowych gaciach i szelkach.

U nas dzieje się to natychmiast – czy potrzeba agrafki, igły z nitką, grzebyka czy lakieru do włosów, mastyksu do zarostu, zmiany części stroju – pomoc jest na scenie w ciągu 30 sekund. Muzyka na nas nie poczeka, a chcemy, żeby każdy widz dostawał sto procent jakości – zawsze, jak na premierze.

To duży stres?

– Teraz już się tak nie stresuję, czy na pewno podołam zadaniu, ale kiedy zaczynałam w 1982 roku, to na mojej pierwszej próbie dziesięć razy otwierałam mikrofon i nie potrafiłam wykrztusić słowa. Mówisz do „sitka”, ale słucha cię sto-dwieście osób.

Pani sposobem na opanowanie stresu przed spektaklem jest podobno malowanie paznokci.

– Ta anegdota zrobiła się już trochę nudna, ale... Kiedyś przed bardzo trudną premierą ostatniej części „Pierścienia Nibelunga”, czyli „Zmierzchu bogów”, reżyser August Everding zażyczył sobie korekty światła. Zamiast szykować się w domu do premiery, siedziałam z nim w teatrze i żeby zy-

skać na czasie, zaczęłam dyskretnie malować paznokcie. Jego asystent spojrzał tylko na mnie spode łba i powiedział: „Boże, wszyscy w obłędzie, a ona sobie paznokcie robi!”.

Ale ulubione obcasy musiały pani zrzucić. Inspicjent nie może chodzić na obcasach.

– Tak, powinien mieć płaskie „cichostępy”. Ale mam w szafie kilka par pantofli na obcasie – lubię aksamitne, z pasieczkiem, na szpileczce, albo złote... „Przebywają” w szafie gdzieś obok „bluzki królowej Elżbiety”.

Czego?

– Na jednym z naszych przedstawień baletu „La fille mal gardée” była obecna królowa Elżbieta II, podczas pobytu w Polsce w marcu 1996 roku. Po przedstawieniu we foyer został zaplanowany bankiet na jej cześć. Uznałam, że muszę szczególnie uroczyście wyglądać z tej okazji. Wymyśliłam, że stosowna będzie długa czarna spódnica. Plus biała bluzka. Ale żeby nie była taka zwyczajna – kupiłam atłasową, z ogromnym gipiurowym kołnierzem, który spadał mi z ramion aż do łokci. To był jeden jedyny raz, kiedy ta bluzka „wyszła” z szafy. Gdy ubranie zaczyna karierę w takich okolicznościach, każde następne byłoby degradacją.

Wróćmy do butów.

– Uwaga, będzie lokowanie produktu! Lubię m.in. firmę Rieker – noszę ich obuwie do pracy, na wizyty, ale mam też sportową, skórzaną parę. Pływałam w niej w podwodnej jaskini wąwozu Wadi Ash Shab w Omanie, chodziłam w nich po mulistym dnie rzeki, która „uciekła” pod ziemię. Były całe w błocie. Wydawało mi się, że nie nadają się już do niczego, ale że jakoś nieelegancko wyrzucić takie upaprane, obmyłam je pod kranem i wystawiłam do suszenia. Okazało się, że wróciły do siebie i służą mi do dziś.

Nie lubi pani abnegacji, niedbalstwa.

– W każdej dziedzinie życia, po prostu it isn’t my cup of tea, jak mówią Anglicy. To mnie drażni szczególnie jako stosunek do zawodu. Kiedy ktoś ma taką nonszalancką, lumpiarską manierę, to od razu czuć, jakby wokół płynął nieświeży zapach, chociaż wszyscy są umyć. Jestem też zmęczona tą nieustającą, ostentacyjną nowoczesnością w teatrach – wszystko teraz musi być we współczesnym wnętrzu i kostiumie, jakby ten z minionej epoki był jakiś „głupszy” albo przeciwnie – zbyt trudny dla widza. To się zapewne zmieni, bo zaczyna wiać nudą i monotonią... Zobacz pani, niedługo jakiś kry-

tyk napisze: co za odkrywczе przedstawienie! „Zbójcy” Schillera dzieją się w XVIII-wiecznych Niemczech, a do tego w kostiumach z epoki! Sensacja!

Ale brzydki zapach zdarza się nie tylko w kulturze i nie tylko jako metafora. Ludziom wciąż zdarza się nie myć, a tu niby środek Europy. W Indiach, gdzie jest tragiczna bieda, ludzie rodzą się i umierają na ulicy, moje powonienie nie było narażone na stres.

Ma pani sentyment do Indii.

– Już od czasu studiów! Na Uniwersytecie Warszawskim w ramach magisterki pisałam pracę na pograniczu studiów nad dyplomacją: „Indie a ruch non-alignment”. Należałam też do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, na Wierzbowej. Kiedyś odbył się wieczór poezji i ja – ubrana w sari – recytowałam wiersze Rabindranatha Tagore. Z Indii przywiozłam sobie kilka ulubionych szali – jeden szeroki na metr sześćdziesiąt. Mam też naszyjnik z Kaszmiru, z księstwa Ladakhu, który teraz z upodobaniem noszę, musiał jednak poleżakować. W ogóle mam wrażenie, że swoją szafę traktuję jak piwniczkę z winami. To taki mój rezerwuar mody, z którego wyjmę to, co czuję, że już ma swój czas, dojrzało.

A jak pani przechowuje ubrania?

– Mam trzy szafy. Dwie antykwaryczne, w tym jedna trzydrzwiowa z lustrem, a trzecia we wnęce, nowoczesna, z przesuwanymi lustrzanymi drzwiami. W niej znajdują się płaszcze, kurtki, rzeczy codzienne i buty. W trzydrzwiowej są: po jednej stronie letnie bluzki, a po drugiej – zimowe. W środku suknie, spódnice, spodnie. W trzeciej miszmasz, łącznie z babuninymi lisimi kołnierkami. Na górnych półkach czapki i kapelusze. W szufladach – szale.

Mój ojciec miał nieprawdopodobny ład w szafie. Mama, kiedy chciała dać dziecku nauczkę, czyli mnie, otwierała szafę taty i mówiła: „Przyjrzyj się tylko, tak ma to wyglądać”. Wszystko poukładane, wyprasowane w kant, nawet skarpetki i chusteczki. Normalnie jak w wojsku. Porządek musi być.

Do dziś nie lubię bałaganu ani w szafie, ani w życiu. Ale nie aż tak, żebym była spiętą pedantką... Najbardziej lubię powiewne szale, szumiące spódnice z koła bez cyrka, sukienki w dynamicznym kolorze maliny, bluzki niewypasowane na sztywno, spodnie nieoczywiste...

Ale lubię, żeby były wyciągnięte z odpowiedniej półki. ●